

Đzioby i pazury.

i ostry kil, kwiatuszkę



ROMUALD PAWLAK

RW2010

ROMUALD PAWLAK
DZIOBY I PAZURY. I OSTRY KIL, KWIATUSZKU

CYKL: Pogodnik trzeciej kategorii

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Romuald Pawlak 2012

Okładka Copyright © RW2010 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.p

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Są takie dni, kiedy mroczne wspomnienia powracają. Burzą spokój, wpychają człowieka w depresję.

Rosselin, młody mag pogodowy najniższej, trzeciej kategorii, był w takim właśnie nastroju. W jego duszy, niczym mleko zsiadające się w kadzi, gęstniał ponury smutek. Wkrótce będzie można go ciąć w kostki, pakować i sprzedawać tym wszystkim wesołkom z Fertu, którzy chcieliby zasmakować rozpaczy wymieszanej z rezygnacją. Depresji maga, którego przerosły fanaberie żywiołu.

O ile odważą się poczuć, jak to jest być kiepskim magiem-pogodnikiem...

Na razie wciąż tylko snuł katastroficzne wizje, bo wcale nie był gotowy przejść do czynu. Z tarasu willi malarza Astrogoniusza obserwował miejsce, gdzie uderzyłoby jego ciało, gdyby jednak (ale tylko w przypływie nagłego szaleństwa, o które siebie nie posądzał) postanowił odebrać sobie życie.

Artysta wznosił swoją rezydencję już poza murami stolicy, po drugiej stronie Zatoki Finnea. Wielka, wysmakowana architektonicznie budowla stała na stromym zboczu, które w tym miejscu urywało się niskim, niemal pionowo opadającym klifem. Z ostatniego piętra Astrogoniusz kazał budowniczym wysunąć ponad skarpe długi taras podtrzymywany przez kolumny wbite w dno zatoki.

To właśnie stojąc na jego krańcu, Rosselin snuł swoje ponure rozważania oddzielony od śmierci tylko żelazną balustradą wykutą w kształcie winnego pnącza oraz świadomością, że wciąż nie spisał testamentu.

W dole śmigały łódki o barwnych żaglach, tworząc wzór dręczący pamięć maga niczym kolce kaktusa wbijane pod paznokcie.

Tu żagiel różowy niczym majtki Zejfy d'Argilach, uroczej dwórki cesarzowej, obiektu miłosnych westchnień malarza... tam biały jak śnieg na szczytach pobliskiego łańcucha Alherydów... ówdzie wreszcie czarny z białą, wijącą się nieregularnie kreską oznaczającą własność członka Rady Magów. Razem tworzyły kompozycję przypominającą Rosselinowi piętrowe zaklęcia, w których każdy odrębny człon

wydzielano odpowiednią barwą. Zestresowanym, a często także wymęczonym całonocnymi pijatykami uczniom Akademii Magicznej za nic te piętrusy nie chciały wchodzić do głów. Musiano je tam wbijać siłą.

Teraz tamte szkolne wspomnienia powróciły, kiedy z wysokości tarasu obserwował zatokę. Próbował nawet odwrócić głowę, ale ów widok budzący upiory przyciągał maga z jakąś perwersyjną siłą.

A może po prostu Rosselin wolał nie oglądać się za siebie?

– Chyba zbiera się na burzę – usłyszał głos malarza. Ten, przesłonięty wielkimi sztalugami, pozostawał niewidoczny dla maga, nawet gdy pogodnik porzucił obserwowanie żaglówek. – Ty się lepiej postaraj o dobrą pogodę, bo na zbity pysk wywalę i nie będzie żadnego zmiłuj...

Astrogoniusz słynął z ciętego języka i brutalnego zachowania. Obie te cechy nasilały się w czasie aktów twórczych. A teraz pracował nad obrazem zamówionym przez samą cesarzową, Joannę f'Imperte. W ciemno można było przyjąć, że wszelkie przeszkody doprowadzą go do złości zdolnej zagotować wodę w zatoce poniżej.

Mag obrócił posepny wzrok na niebiosa. Jego chlebodawca miał rację: jakieś paskudztwo leżało się nad zatoką, wyciągając mroczne macki w stronę lądu. Jak nic zaraz zacznie padać. Na wodach Finnae już kładł się ciemny, groźny cień.

Rosselin potrafił przewidzieć, jak się to wszystko zakończy. Miał okazję zasmakować takich perypetii w czasie nauki w murach Akademii. Najpierw wzory magiczne wymieszane w nierozpoznawalną masę i nie dające się użyć, a w głowie mętlik i groch z kapustą. Później... później ciężar nauczycielskiej różgi – nie mylić z różdżką! – na tyłku.

Na razie Astrogoniusz po kij nie sięgnął, tym bardziej że żadnego nie miał pod ręką. Ale przy jego gwałtowności nie należało tego wykluczać.

Rosselin westchnął, żałując, że zamiast do studiów nad subtelnościami pogody, bardziej przykładał się do uroków życia towarzyskiego.

– No to się porobiło... – mruknął do siebie i zaczął wypowiadać zaklęcie przeciwburzowe. Ostatnie, jakiego do tej pory nie użył. Zrobił kilka kroków w stronę malarza – może kiedy zrozpaczony mag będzie z bliska przyglądał się artyście, czar nabierze mocy urzędowej i zadziała?

Tymczasem Astrogoniusz w dzikim szale twórczym rzucał farbę na płótno. Rozpryskiwała się wokół jak krople krwi zarzynanego zwierzęcia. Ekscentryczna broda artysty, długa na łokieć, opadająca na pierś dwoma rozdzielonymi i związanymi białą tasiemką pasmami włosów, kiwała się energicznie w takt machnięć pędzlem. W miejscach, gdzie kolorowej mazi udało się zatrzymać na płótnie, dochodziło do prawdziwej bitwy. Lniana tkanina ostatkiem sił broniła się przed ciosami sobolowego włosia.

Mag sprawdził efekt czaru. Z nadzieją dostrzegł, że choć chmury nie odeszły, to i nie zgęstniały. *Dobre i to* – pomyślał smętnie.

Naraz artysta zaklął wściekle, z rozmachem rzucając pędzel na posadzkę.

– Poczulem kroplę deszczu! – wrzasnął. – Do jasnej cholery, przeklęty chmurolapie, miałeś mi zrobić słońce! SŁOŃCE!!!

Rosselin nerwowo przygryzł wargę. Tymczasem narzędzie pracy Astrogoniusza, tocząc się z cichym turkotem, dotarło do krawędzi tarasu i znikło. Pogodnik pomyślał z nadzieją, że może przynajmniej trafi jakiegoś maga przepływającego w dole swoją żaglówką.

Westchnął ciężko.

– Panie, to tylko farba – zaczął, nadając głosowi jak najbardziej uspokajający ton. – Malujesz tak... – Poskrobał się w głowę, szukając odpowiednio barwnego określenia – ... tak intensywnie, że jej krople fruują wokół ciebie niczym jaskółki...

– Ty mi tu nad poziomy nie wylatuj – mruknął nieco udobruchany artysta. – Farba nie kapie z nieba, kretynie. – Spojrzał w górę, przyglądając się chmurom. –

Kiepsko to widzę. Marny z ciebie mag pogodowy, oj, marny... Dałem się nabrać na siłę reklamy.

Nie na siłę reklamy, tylko na siłę zaklęcia – poprawił go w myślach Rosselin.

I wtedy on również poczuł na policzku kroplę deszczu.

– O, psiakrew! – jęknął odruchowo. – By to kozia broda w supeł zawiązana...

Astrogoniusz ponuro spoglądał to na obraz, to na maga, to wodził spojrzeniem w poszukiwaniu zaginionego pędzla. Pogłaskał swoją rozdzieloną brodę.

– Bierz się za sztalugi – warknął wreszcie, samemu sięgając po pozostały sprzęt.

– Pa... panie, ja w komnacie wyczaruję trochę słońca! – Rosselin struchlał z przerażenia. – Przysięgam! – dodał szeptem.

Niebo tymczasem pochmurniało coraz bardziej. Ledwie zdążyli przenieść wszystkie graty do pracowni malarza, lunął ostry deszcz, z impetem waląc w taras i szyby willi.

Artysta rozejrzył się najpierw po swej komnacie, później obrzucił maga gniewnym spojrzeniem.

– Podoba się praca u mnie? – spytał. – To poproszę cię teraz o wyczarowanie dobrego światła, choćbyś miał użyć do tego psiej kupy albo włosów samej cesarzowej. A jak ci się nie uda, to przerobię na bejcę do gruntowania płócien, rozumiesz?

* * *

Tymczasem na dworze wciąż padało. Padało i padało, strumienie wody waliły z nieba niby w czasie Potopu przed zstąpieniem Aarafiela. W miejscu gdzie stały sztalugi Astrogoniusza, po tarasie rozpełzła się plama farb różnego koloru. *Służba będzie miała sporo roboty* – pomyślał Rosselin, nerwowo skubiąc krótką brodę. W końcu wyrwał sobie jeden włos i obejrzał go pod światło, szukając przedwczesnej siwizny. Nawet w wieku dwudziestu sześciu lat można się jej nabawić, jeżeli życie jest jednym wielkim stresem. A młodemu magowi trosk nie brakowało.

Astrogoniusz pracował, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe klątwy. Magowi z wysiłku łzy napłynęły do kącików oczu, ale powietrze w komnacie stało się świetliste. Dawało to Rosselinowi godzinę spokoju na dogłębną analizę swojego zarostu.

Nagle zrządzenie artysty i szelest sobolowego włosia drapiącego tkaninę obrazu ustały.

– Cudna pogoda – ponuro stwierdził Astrogoniusz i niechętnie spojrzął na taras zalany deszczem. – Dokładnie taka, jaką zamawiałem...

Rosselin wypowiedział czar wzywający Pierwszego Maga, który cała Akademia nazywała nieoficjalnie *ostatnim zaklęciem desperata*, bowiem używało się go tylko w przypadku zagrożenia życia, nagłej impotencji lub innych okolicznościach, gdy wszystko inne zawiodło. Perspektywa śmierci z ręki malarza niewątpliwie była powodem do sięgnięcia po tę ostatnią deskę ratunku.. *Daj słońce na niebie* – poprosił pogodnik. – *A potem bierz, co chcesz. Bo on mnie zaraz wywali z roboty.*

– I słońce takie cudne. – Malarz popatrzył na niebo pociemniałe od ciężkich deszczowych chmur, przez które nie przebijał się ani jeden promyczek słońca.

Z głębi jego gardła wydobyło się krótkie, urywane łkanie, choć może było to tylko dziwne chrząknięcie.

– A wiesz, co mi powiedziała Joanna? Że mój obraz ma rozświetlać mroki jednej z jej prywatnych komnat – ciągnął Astrogoniusz. W jego głosie pojawiły się naraz złowróżbne nuty.

– Patrz, panie, słońce przebija przez chmury – przerwał mu rozradowany Rosselin. Nie krył szczęścia: w końcu czar zadziałał.

Rzeczywiście, coś się zmieniło na lepsze. Jednak artysta spojrzął w niebo i bez przekonania pokręcił głową.

– Nie takie światło zamawiałem, magu. Zbyt wilgotne, rozsiane, krótko mówiąc: do dupy – mruknął z rozczarowaniem. – Ale będzie musiało wystarczyć...

Po chwili deszcz ustał i mogli z powrotem przenieść sprzęty Astrogoniusza na taras. Mag z westchnieniem ulgi pomógł ustawić sztalugi.

Dzięki ci, Mistrzu – pomyślał, wywołując w pamięci obraz starego, siwego mężczyzny o zezowatym, trochę okrutnym spojrzeniu.

Tak, czasami można liczyć na wsparcie cechu. *Joanna f'Imperte będzie miała swój przeklęty obraz.* – Pokłonił się w duchu swemu patronowi. – *A ja dostanę swoją zapłatę.*

Jakoś umknął mu fakt, że kto daje, może i odebrać...

* * *

Można poznać, z jakim nastawieniem stąpa człowiek, którego kroki właśnie się usłyszało. Jeżeli się skrada, prawdopodobnie ma złe zamiary. Gdy podąża swobodnie i energicznie, raczej nie zwiastuje to niczego złego.

Astrogoniusz pędził korytarzem niczym człek doprawdy szalony. Jego buty łomotały po mozaikowej posadzce w sposób, który w uszach maga zabrzmiał złowieszczym werblem.

Co gorsza, malarz zmierzał prosto do komnaty Rosselina!

Mag z ciężkim westchnieniem odłożył na stół prawie już obraną ze skórki licyjską pomarańczę o smaku jabłkowym i sięgnął po leżącą przed nim księgę. Kichnął, otworzył ją na przypadkowej stronie i zawiesił wzrok na obrazku przedstawiającym syczącego szyszkuna, jedno z najbardziej jadowitych stworzeń, jakie można było spotkać na ziemiach Imperium Faraelickiego.

Drzwi niemal wpadły do środka pchnięte ręką malarza. On sam runął za nimi sinoczerwony, zdyszany. I wściekły jak jasna cholera.

– Ty wiesz, co ona mi powiedziała?! – krzyknął, oskarżycielsko kierując palec w stronę Rosselina. Drugą ręką szarpał koszulę, jakby go kołnierz dusił. – Że jak będzie chciała ciemność, to sobie palcem w tyłku pogrzebie!!! I nawet nie mogłem

jej odpyskować, bo to cesarzowa przecież, a gwardziści trzymali łapy na mieczach! Uch!!!

Ruszył na pogodnika. Ten rozpaczliwym ruchem wyciągnął przed siebie książkę, zupełnie jakby obrazek straszliwego szyszkuna był w stanie powstrzymać jego chlebowawcę.

– Ależ Astrogoniuszu – zaczął mag z rozpaczą – pogoda jest nieprzewidywalna... Zaś obraz można z pewnością poprawić...

Malarz tylko prychnął przez nos.

– Płacę ci za słońce, jak mam malować słońce, a za tęczę, jak chcę tęczę... Guzik mnie obchodzi, co wy w tej waszej cholerniej Akademii robicie i jakie teorie wyznajecie. Płacę, zamawiam, dostaję, rozumiesz?!!!

Ostatnie słowa zamieniły się w dziki ryk. Z gniewem pokonał ostatnią linię obrony, wytrącając swej ofierze księgę, i silnymi dłońmi uchwycił go za szyję.

– To jakiś zawistnik wywołał tę burzę – jęknął Rosselin ostatkiem sił, wrywając się nieco z pętli rąk Astrogoniusza.

Ten pomimo szaleństwa usłyszał jego słowa. Nadstawił ucha, jednocześnie nieco zwalniając chwyt.

– Ktoś chce cię pogrzyźć – skrzeknął mag, czepiając się wątlej nici nadziei. – Pomyśl, jak bardzo musi cię nienawidzić, skoro wydał złoto, żeby zepsuć ci pogodę! Musiał użyć pogodnika pierwszej kategorii! Albo nawet bojowego czarnucha!

Przez chwilę wydawało się, że artysta połknie to zręczne kłamstwo. Rosselin już czuł się wolny, a nawet zabręczały mu w kieszeni złote imperiały, jakimi malarz płacić będzie za wyszukiwanie antyzaklęć... Opowieści o czarnych magach mogły mu wyprodukować dobrych parę setek. Mnóstwo ich krążyło po komnatach Akademii – a co jedna, to bardziej nieprawdopodobna. Wszystkie brały się stąd, że tamci uczyli się na wydziale, do którego nikt inny nie miał dostępu, później zaś

krażyli po Imperium w sobie tylko wiadomych celach. Czasem, może raz na stulecie, wyruszali na zagadkowe wyprawy nazywane wojnami czarnych magów...

I nagle cały ten misterny plan oplątania malarza kłamstwem, półprawdą i szczyptą banalnych oczywistości legł w gruzach.

– Wiesz, kto to? – Astrogoniusz przeszedł do konkretów.

Pogodnik z trudem pokręcił głową, nadal trzymany jak w imadle. Malarz miał zaskakująco silne dłonie. Pewnie furia dodała mu sił.

– Nie – zachrypiał Rosselin. – Ale mogę się dowiedzieć... Są też zaklęcia kontruujące...

Malarz ze wstrętem odepchnął go od siebie.

– Znaczy, że nic nie wiesz. A jak nie wiesz, to i się nie dowiesz – podsumował sytuację. Znów zrobił dwa kroki w przód. Mag zasłonił się rękoma, krzyknął, ale Astrogoniusz tylko boleśnie wbił mu palec w pierś i rzekł:

– Nie, nie zabiję, bo po co mi awantury z twoim cechem. Ale wynocha z mojego domu i z miasta. Spróbuj pokazać mi się na oczy, zanim złość nie przejdzie, to posiekam żywcem. Albo zagruntuję tobą płótno.

– Panie, ja... – zaczął nieśmiało nieszczęsny pogodnik.

– Ty... Ty to jesteś zwolniony! – warknął artysta, wskazując mu drzwi swym długim, wyprostowanym jak strzała paluchem.

* * *

Słońce zachodziło nad rezydencją artysty, kiedy Rosselin ruszył w stronę miejskich murów, aby tam szukać szczęścia.

Wciąż był w szoku. Nikt nigdy nie zwolnił go w tak okropny sposób. Nikt nigdy nie zwolnił go w ogóle. To była przecież jego pierwsza praca...

Pomimo gróźb malarza zamierzał szukać zajęcia tutaj, w stolicy świata. Choć urodził się na prowincji, jednak wychował się w Fercie – i nie zamierzał opuszczać miasta.

Groźby Astrogoniusza nie były dla niego straszniejsze niż widmo spędzenia reszty życia na leczeniu kurzajek babom z Dambasu, Chrypasty czy innych zapadłych dziur Imperium. Przecież nie miał pojęcia o znachorstwie... A z kolei cóż miał pogodnik do roboty na prowincji, gdzie lud zarówno deszcz jak i spiekotę przyjmował z taką samą fatalistyczną biernością?

No owszem, mógłby tam siedzieć beczynnie i sącząc wino, doprowadzać się do stanu, w jakim znajdował się wiecznie pijany wuj Rosselina, Falistern. Ten trzeźwił tylko po to, aby stwierdzić, ile jeszcze może w siebie wlać, zanim padnie na twarz. *Kontroluję się* – mawiał przy tym z dumą.

Mag miał większe ambicje. Można by powtórzyć za Sarturusem, największym filozofem w dziejach cesarstwa, że plany miał imperialne, choć umiejętności żadne.

* * *

Najtańsze wino – czyli akurat takie, na jakie Rosselin mógł sobie pozwolić – można było znaleźć jedynie w dzielnicy portowej, pośród doków. By tam dotrzeć, musiał wzdłuż morskiego brzegu przebrnąć cało przez kwartały miejskiej biedoty. A jeszcze wcześniej pokonać pieszo ćwierć mili z domu Astrogoniusza do najbliższej miejskiej bramy.

Zbliżając się do niej, poprawił swój błękitny płaszcz oznaczający maga pogodowego, mocniej ujął w dłoń sakwę z kilkoma drobiazgami oraz stustronicowym notatnikiem, w którym miał prowadzić raporty dla Akademii. *Cóż – pomyślał z żalem – jakoś nie udało się wzbogacić na służbie u malarza...*

Strażnicy popatrzyli tylko na jego cechowy strój i przepuścili bez pobrania opłaty, odwracając wzrok na wypadek, gdyby chciał rzucić na nich urok czy jakąś inną klątwę. Nie, żeby Rosselin był w takich sprawach biegły – jak się człowiek specjalizuje w pogodzie, to nie w głowie mu takie drobiazgi jak kurzajki, pryszczki albo mokry kaszel nocą. Pokiwał jednak głową w podzięcie za zaoszczędzonego

imperiała i przekroczył bramę wykutą w solidnym kamiennym murze sięgającym trzydziestu stóp wysokości i na dziesięć stóp grubym.

Za fortyfikacjami rozciągała się stolica świata. Astrogoniusz mógł sobie posiadać artystyczną fanaberię zamieszkiwania w podmiejskiej dziczy (uzasadniając ten kaprys, mawiał, iż mieszcuchy kradną mu zbyt wiele światła). Lecz dla każdego normalnego człowieka liczył się tylko Fert, i to wyłącznie Fert leżący wewnątrz murów. Tu znajdowały się rezydencje arystokratów, tu leżało Wewnętrzne Miasto cesarskie, dzielnice kupców, rzemieślników i port, przez który wszelkie bogactwa Imperium wpadały do Fertu jak do skarbonki. Cała reszta, dzielnice pospólstwa i biedoty, wylały się po drugiej, wschodniej stronie murów, gdzie ład łagodnie opadał w stronę Zatoki Finnea.

Rosselin postanowił najpierw się napić, później zaś pośród przybyszy poszukać kogoś, kto potrzebowałby maga i przewodnika po Fercie w jednej osobie. Jeżeli to się nie uda, przyjdzie mu podkulić ogon i udać się po prośbie do aptekarza Farfinkelszta, u którego najmował się czasem jako goniec, kiedy nie miał już pieniędzy nawet na chleb, a nie był jeszcze tak zdesperowany, żeby iść kraść. Ale to ostateczność – stary pigularz z pewnością zapyta, gdzie jego pięć złotych imperiałów.

Kiedy wkroczył w okolice nabrzeży, doszedł go charakterystyczny smród słonej wody z gnijącymi wodorostami. Westchnął. Nienawidził tej woni.

Ech, praca – pomyślał. – Praca czyni sytym, ale czasem nos trzeba zatkać, a rozum wyłączyć...

Rozejrzał się po bulwarze, którym wędrował. Można tu było znaleźć cały przekrój społeczny Imperium: uczciwych kupców, żołnierzy i zwykłych obywateli, duchownych od Aarafiela w swoich pomarańczowych szatach, kapłanów Draceny w białych, a wreszcie złodziei, prostytutki i oszustów.

Nikt z nich nie odważył się zaczepić maga. Wszyscy udawali, że nie istnieje, odwracając spojrzenia w bok. W pamięci mieli świeży jeszcze skandal sprzed miesiąca.

Z pozoru sprawa była banalna: jakiś rzezimieszek ukradł sakiewkę magowi ziemnemu drugiej kategorii, Spauerowi. Ten zorientował się w porę... i zamiast rzucić się w mało skuteczny pościg, pchnął za przestępcą szybką kłatwę wiążącą.

Złodziej na oczach tłumu pośrodku ulicy zaczął zamieniać się w porcelanowy posąg. Zdażył wyrzeszczyć parę kłamstw na temat swojej niewinności, wreszcie po czubek głowy stał się powiększoną wersją jednego z tych bibelotów, którymi żony bogatych kupców zastawiały całe kredensy.

Zadowolony Spauer pewnie odzyskałby swoją własność, po czym uwolnił zbója, uznając skamienienie za właściwą lekcję wychowawczą. Naturę miał bowiem łagodną, jak większość magów zajmujących się wybrykami gór, rzek, jezior i wulkanów. Nie zdażył jednak podejść i zdjąć czaru. Z bocznej uliczki wypadła karoca z jakimś spieszącym się gdzieś arystokratą i... rozbiła rzezimieszka. Fatalna sprawa: roztrzaskał się na tak drobne kawałki, że nawet Pierwszy Mag nie zdołałby go posklejać.

Wędrował więc Rosselin niczym nie niepokojony, szukając odpowiedniej knajpy. I wreszcie taką znalazł. Na szyldzie wymalowana była morska mewą, a powyżej, dla tej niewielkiej części marynarzy, która posiadała (całkowicie zbędną) umiejętność czytania, widniał napis: „Pod Czterema Mewami”.

Jednak najbardziej do wybrania tego lokalu przekonała Rosselina młoda i całkiem ładna dziewczyna. Akurat kiedy z zainteresowaniem oglądał szyld, drzwi wejściowe otworzyły się z łomotem, a dziewczyna wykopała jakiegoś pijusa na bruk.

Kolano, które wyjrzało spod spódnicy, miało naprawdę miły dla oka kształt.

* * *

Można siedzieć w knajpie samemu – i magom taki los jest dobrze znany. Mało kto ma odwagę się przysiąc, chyba że inny czarodziej. Rosselinowi samotność wcale nie przeszkadzała. Przynajmniej zamiast gniesć się z tymi moczymordami przy innych stołach, miał cały blat dla siebie.

Niedbale rzucił płaszcz i sakwę na drugi stółek, wyjął ze środka notatnik, szczelnie zakorkowany kałamarz i zastrzone pióro. Jakoś wcześniej nie znalazł w sobie dosyć siły i motywacji, aby zrelacjonować magiczne aspekty pracy u Astrogoniusza. Co roku musiał jednak przedstawić raport akademikom, jeżeli chciał zachować licencję. Można to było uważać za niesprawiedliwy przymus, nawet szykanę, ale w tej sprawie Rada Magów miała pogląd niezmienny od wieków: czarodziej pozbawiony kontroli staje się niebezpieczny.

Zamówił miarkę cienkusza i zaczął już gryźć w namyśle pióro, gdy naraz usłyszał nad sobą szorstki, ostry głos:

– Można? – Po czym, nie czekając na pozwolenie, do ławy przysunął swój stółek szpakowaty, niski, dosyć tęgi mężczyzna w marynarskich ciuchach i śmiesznym kapeluszu przypominającym pieróg. – Tortinatus – przedstawił się. – Szyper na „Aqurze”.

Nim minęła godzina, byli już w najlepszej komitywie. Rosselin sam, z własnej i nieprzymuszonej woli, opowiedział nowemu przyjacielowi, jakim to bydlęciem jest Astrogoniusz. Jak nie docenił jego skromnych – tu zebrało się magowi na czknięcie – umiejętności pogodowych. Skromnych, ale bez przesady – poprawił się zaraz. W końcu dostał dyplom ukończenia Akademii Magicznej, a to jest jednak osiągnięcie, prawda?

Tortinatus kiwał głową. Wyjaśnił, że właśnie powrócił z rejsu do Garandyny. Było to dosyć bogate miasto poszukiwaczy pereł.

– A nie przywiozłeś jakiegoś frajera, który by potrzebował maga, żeby nie zginąć w stolicy? – Rosselin spojrzał na niego z nadzieją. – Szukam zajęcia. Trzeba by na chleb jakoś zarobić...

Szyper pokręcił głową. I zamiast wina zamówił znacznie mocniejszą palonkę.

Po kolejnej godzinie magiczne moce trzeźwości zaczęły opuszczać Rosselina. Minęła następna i zwierzył się kapitanowi, że jego największym marzeniem jest ugotować Astrogoniusza we wrzącym oleju, posypując wonnym tymiankiem. Jeszcze trochę, a wyznałby, co jest prawdziwą przyczyną owej nienawiści, na szczęście (lub kto wie – może właśnie na nieszczęście) język całkiem odmówił mu posłuszeństwa.

Wtedy Tortinatus wyciągnął z zanadru jakiś wyszmacony papier.

– A nie zerknąłbyś tu, magu? Słabo czytam, a to pismo trudne... – poprosił.

Rosselin życzliwie spojrzał na podetknięty dokument. Jednak litery zaczęły mu tańczyć przed oczyma... i co robiło pióro w jego dłoni, która nagle stała się drewniana i kanciasta?

* * *

Kołysało. Kołysało i falowało, a nawet miotało. Odczuwał to całym ciałem.

Trzeba przyhamować z tym piciem! – postanowił Rosselin, mętną myślą powracając do świata żywych i skacowanych. Ostatnim, co zapamiętał, był toast wzniesiony przez Tortinatusa na pohybel pacykarzowi Astrogoniuszowi oraz jego przeklętym obrazom. I własna gorliwość w wypiciu toastu co do kropelki.

Znów wszystko wokół Rosselina niebezpiecznie się zakołysało. Oczy wciąż miał zamknięte. Obawiał się, że jak rozewrze powieki, gałki oczne wypadną i zamieni się w ślepcę. A ślepy mag pogodowy... cóż, musiałby szybko wyhodować sobie lepszy węch. Jakoś jednak Rosselin nie miał przekonania do tak radykalnej zmiany. Wolał pozostać przy dotychczasowym stanie posiadania zmysłów.

Leżał na brzuchu z dłońmi niebezpiecznie wciśniętymi w krocze. Gdy to sobie uświadomił, ze wstydem odsunął ręce. Wtedy prawy łokieć trafił w ścianę. Mag jęknął z bólu, otworzył oczy... i krzyknął z przerażenia!

To nie jego przepalone wnętrzności falowały w brzuchu ani fałdy mózgu usiłowały się wyprostować jak na porządną tkaninę przystało. Nie, to cały świat wokół maga kołysał się miarowo, jednostajnie, niezmiennie...

Łóżko nie było wcale solidnym meblem w izbie zajazdu, tylko wąską koją w okrętowej kajucie. Zmęczony wzrok maga trafił prosto w bulaj. Za którym miarowo kołysały się chmury...

Płynęli! Psiakrew, znajdowali się na wodzie!

– Na kości Starucha, co ja tu robię?! – jęknął głośno. – Od kiedy to oberze pływają?!

Chciał wstać, zanim żołądek wyrwie się na wolność i mag zapaskudzi sobie łóżko. Zleciał z koi, ale szybko poderwał się na równe nogi, rozpaczliwie pragnąc jak najszybciej znaleźć się na świeżym powietrzu. Błędnym spojrzeniem odnalazł drzwi i skierował nogi w ich stronę. Zatkaną usta i co sił pobiegł wąskim korytarzem w stronę światła.

Był biały dzień, sądząc po słońcu wysoko stojącym na niebie, wręcz południe. A wokół rozpościerał się rozfalowany, ciemnobłękitny ocean. Statek płynął po otwartych wodach!

– A, witamy pana maga, witamy – powiedział przyjaźnie Tortinatus, robiąc krok w jego stronę. – Witamy na pokładzie i w pracy. – Poklepał nieprzytomnego pogodnika po ramieniu.

Rosselin dzikim spojrzeniem potoczył po pokładzie. Łajba rzeczywiście była sporych rozmiarów. Gdzieś we łbie tliło mu się, co przy winie opowiadał szyper: trzy maszty, płócien setka, statek szybki jak wściekły Krakern. No i Tortinatus wiele nie przesadził: kadłub miał z pięćdziesiąt kroków długości i śmiało pruł fale.

Ale dlaczego kapitan teraz mówił o pracy?

– Czemu ja jestem tu, a nie na... – pgochnik powiódł spojrzeniem po widnokregu, znów nie odnalazł brzegu, zrobił się zielony na twarzy i dokończył szeptem: – ... na łądzie?

Tortinatus podszedł do niego.

– Co, nie pamiętasz, że się wczoraj na statek zaciągnąłeś? No, widać nie nawykłeś do picia, brachu! – Z rozmachem klepnął maga w ramię. – Ale bez obaw, zdążysz wytrzeźwieć. Na razie nie masz nic do roboty. Dopiero jak wiatr przyjdzie łapać, żebyśmy do przodu płynęli, zamiast do tyłu....

Rosselin jeszcze bardziej zzieleniał na twarzy i chyłkiem pomknął w stronę burty, żeby nakarmić ryby. Potem już spokojniejszym, a może tylko bardziej zrezygnowanym krokiem ruszył do swojej kajuty.

* * *

Byla tylko jedna rzecz, której Rosselin szyprowi nie powiedział, nawet po pijanemu.

Tajemnica, którą magowie musieli skrzętnie ukrywać.

Sekret tak straszny, że poznawszy go, niejednen czarodziej oszalał albo stracił powołanie. Akademia pełna była takich nieszczęśników uwiezionych w salach szpitalnych albo pozbawionych życia i zakopanych w piwnicach. Cech umiał dbać o swoje tajemnice.

Było to coś, nad czym najteżsi magowie Akademii, profesorowie piastujący swe stanowiska od dziesięcioleci, łamali sobie głowę – jak dotąd bez skutku.

Otóż magia nie lubiła morza i na nim działała słabo albo i wcale. Mag wystawiony na działanie słonej wody nie tylko właściwie przestawał być magiem, ale zamieniał się w rzygającą, załzawioną, pogrążoną w depresji kulkę nieszczęścia. Jak obecnie Rosselin.

Oczywiście zdarzali się mutanci. Tak jak jeden na dwanaście tysięcy trzystu mieszkańców Imperium miał każde oko innego koloru, co skrzętnie obliczyli

cesarscy urzędnicy, tak też raz na siedemset siedemdziesiąt siedem powołań, i tylko w przypadku pierwородnego syna drugiej córki trzeciego brata, rodził się tak zwany morski mag. Na łądzie jego moc, jeżeli zdołał ją z siebie wykrzesać, była śmieszna i nic niewarta. Ale pośród oceanu czy w rejsach dookoła brzegów kontynentu... o, taki czarodziej mógł zrobić wszystko.

Rosselin jednak był zwykłym, prostym, lądowym szczurem. Nigdy nie sprawdził, jak jego magia niesie się po falach. Po co? Wystarczyło mu, że nawet na łądzie sprawdza się kiepsko.

A teraz, o ile dobrze zrozumiał Tortinatusa, po pijanemu zaciągnął się na statek w roli morskiego maga zdolnego wywołać wiatr o określonym kierunku...

Ukrył twarz w dłoniach. Zaraz jednak musiał oderwać ręce, bo jego umęczony żołądek zdecydował, że nadeszła pora karmienia ryb.

* * *

Tortinatus wydawał się wielce zadowolony z pozyskania maga. Nie przeszkadzało mu, że Rosselin cały dzień karmi ryby coraz bledszym wspomnieniem po ostatnich posiłkach. W pewnej chwili nawet zaproponował mu, aby coś zjadł w jego kabinie, zanim znów opróżni żołądek, bo inaczej ryby będą pływać głodne. Z dumą przedstawił też pogodnika swoim dwóm pomocnikom, Naftilusowi oraz Farclayowi.

Załoga jednak wcale nie okazywała swej radości, nawet jeżeli morski mag, za jakiego uważali Rosselina, wydawał się cennym nabytkiem. Owszem, szyper i obaj oficerowie mogli się cieszyć, to ich sprawa. Lecz pośród prostego marynarstwa obowiązywał pogląd, iż mag na pokładzie to coś trzy razy bardziej niebezpiecznego niż baba na łąjbie. I w dodatku gorszego, bo skoro to chłop, kobiecymi wdziękami nacieszyć się nie można. A nawet męskimi, bo choćby ktoś takie wołał, schadzki z czarownikami nie zaryzykuje – to pewne jak Krakern w głębinach.

Nic więc dziwnego, że kiedy Rosselin po raz kolejny tego pierwszego dnia w nowej pracy oparty o burtę oddawał się swemu ulubionemu zajęciu, pochwycił strzęp rozmowy między Naftilusem a jednym z majtków.

– Nigdy nie mieli maga na pokładzie i dobrze było – burczał ten ostatni.

– A teraz mamy i zobaczysz, będzie jeszcze lepiej – osadził go w miejscu Naftilus. – Zresztą, ty mi tu, Wywrych, nie pyskuj, tylko bierz się do naprawiania żagli. Myszy już dziury porobiły, szlag by je na węgiel usmażył!

Pogodnik cicho i boleśnie zajęczał z rozpaczy. Nie dość, że był chory, to jeszcze musiał znosić takie upokorzenia!

* * *

Wieczorem jakoś doszedł do siebie. Po raz ostatni otarł usta chustką, po czym ruszył na poszukiwanie kapitana tej przeklętej łajby.

Tortinatus naradzał się z młodym oficerem, urzędując na mostku obok sternika, który z niezmaconym spokojem poruszał kołem, pilnując właściwego kierunku. Szyper uśmiechnął się, widząc maga niepewnie poruszającego się pośród lin, beczek i łopoczących nad głową żagli.

– Właśnie ustalamy z Naftilusem kurs na noc – wyjaśnił, gdy mag wspiał się do nich po kilku stopniach. – A potem urządzamy małą popijawę z okazji szczęśliwego wyjścia z portu. Czuj się zaproszony, Rosselinie. Dobre jedzenie też się znajdzie. – Na jego oblicze wypłynął lekko drwiący wyraz. Naftilus odwrócił głowę, ale pogodnik zdążył dostrzec ironiczne skrzywienie ust.

– O tym chciałem najpierw pogadać – z wysiłkiem rzekł Rosselin. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło, przętyk palił jak po wlaniu płynnego ołowiu przez mistrza tortur. – Znaczy o wyjściu z portu...

Szyper spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Ale teraz? Już? Zaraz? – zdumiał się szczerze.

Mag skinął głową. Już, teraz, natychmiast – a najlepiej przedwczoraj. Miał nadzieję, że nie odpłynęli zbyt daleko od Fertu. Przybiją do brzegu, wysadzą go... szybko wróci do miasta...

Tortinatus wzruszył ramionami, rzucił Nautilusowi kilka zdań (z których pogodnik nie zrozumiał żadnego, bo naszpikowane były określeniami typu *ostrý bajdewind* czy *prawy hals lewym figofago*), po czym powiódł maga do swojej kajuty.

Zapadła ciemność, więc szyper najpierw zapalił trzy świece w lichtarzu, później wskazał Rosselinowi miejsce przy stole i skromny zydelek. Sam zasiadł obok rozłożonych rulonów map morskich i wielkiego, oprawnego w skórę foliału, z którego wystawało pełniące rolę zakładki pióro harpii górskiej.

– No to w czym mamy problem? – spytał wreszcie.

Pogodnik westchnął.

– Nie pamiętam, żebym się mustrował na pokład tego statku...

– „Aqury”, magu, „Aqury” – poprawił go łagodnie szyper. – I nie mów o niej „ten statek”, błagam. Teraz to także i twoja dziewczyna... – rzekł z jakąś dziwną nostalgią w głosie, po czym roześmiał się ochryple, pewnie by nie wyjść na sentymentalnego.

– A co do kontraktu, to proszę bardzo – zaczął, sięgając pod rulon map. Chwilę szperał tam, przekładając jakieś papiery. Wyciągnął pojedynczą pergaminową kartę i z bezpiecznej odległości pokazał ją pogodnikowi. – Podpisany, to i obowiązuje. – Skrobął paznokciem w miejscu, gdzie widniał wielki, zakończony potrójnym zawijaszem podpis Rosselina.

Ten, wzdychając w zadumie, oglądał kontrakt jak weksel na milion imperiałów, który własnoręcznie podżyrował po pijanemu. Wszystko się zgadzało: data była wczorajsza, podpis jego, obok stosowny gryzmoł Tortinatusa wbiegający na płamę wina, które pewnie wtedy obaj popijali...

Nic, tylko skakać do oceanu. Jedynym pocieszeniem było to, iż najał się wyłącznie na kurs do Garandyny i z powrotem. Czteryście mil w jedną stronę – da się przeżyć, o ile nie zajdą jakieś paskudne okoliczności.

Szyper z ukosa przyglądał się, jak mag studiuje umowę. Wreszcie ostentacyjnie chrząknął. A gdy Rosselin podniósł głowę, Tortinatus westchnął i zaczął z krzywym uśmiechem:

– No, powiem ci, bo i tak pewnie byś to swoją magią wywęszył... Rozumiesz, towary w ładowniach są, a jakże. – Roześmiał się szorstko, wodząc twardym spojrzeniem po swojej kajucie. Dostyc była zagracona, prawdę mówiąc. Rulony map sąsiadowały z zasuszoną głową małpy i wiszącymi na haczykach ubraniami. – Ale przecież wiesz, że Garandyna słynie z połowów pereł...

Bystro spojrzął na pogodnika.

– Legalne towary legalnymi towarami, a przemyt swoją drogą. Kupi się parę perełek, zamocuje za burtą i tak przemyci do naszej stolicy świata, znaczy Fertu... i sprzeda z zyskiem co najmniej dziesięciokrotnym.

Rosselin zrobił się biały na twarzy. Nie dość, że pomyłkowo został obsadzony w roli maga morskiego, to jeszcze znajdował się na statku przemytniczym! Jak cesarscy celnicy znajdą kontrabandę, to całej załodze wyrwą wszystko, co się tylko uda, poczynając od oczu i języka, a skończywszy na... Tu zbladł jeszcze bardziej, bo odkrył, że na innych organach zależy mu bardziej nawet niż na języku.

– Ale dlaczego chcesz wystawić perły za burtę? – spróbował skupić uwagę szypra na czymś innym niż własny strach. – Przecież to bez sensu...

Tortinatus westchnął ciężko.

– Może i bez sensu, może i ryzykowne, ale cesarscy mają specjalnie tresowane psy, na pokładzie trudno coś przeszmułować. Takie bydlę każdą perełkę wywęszy, nawet w pełnej zębie – poskarżył się.

Poprawił swój dziwny kapelusz na stole, tak żeby celował ostrym końcem w stronę Rosselina.

– Będzie tego czytania. – Zabrał kontrakt i przygniół go grubym dziennikiem pokładowym. – Suszy mnie, pora na przyjemności...

* * *

Najpierw tylko pili i tylko we czterech: szyper, mag i obaj oficerowie, choć Nautilus powinien nadzorować wachtę. Pili, jedli, rozmawiali. Wreszcie Farclay, drugi oficer, wyciągnął z kieszeni coś, czego Rosselin nigdy wcześniej nie widział: długie, brązowe skręty w szczelnym metalowym pudełku. Wtedy całą mesę wypełnił zapach, który magowi przypominał mieszankę „Zioła uniwersalne” z apteki Farfinkelszta.

– Turkańskie cygara. Nowinka z południa – rzekł z dumą oficer. – Trujące, ale za to jakie przyjemne!

Odpalił od świecy pierwsze cygaro, zaciągnął się z rozkoszą, po czym puścił *turkeńczyka* w obieg.

Z początku Rosselin starał się palić, ale nie zaciągać. W pamięci miał, że to przecież trucizna. Szybko jednak stwierdził, że kolory w kabinie nabrały intensywności, wokół zrobiło się miło i tak jakoś bezpiecznie...

Drugie cygaro wyzwoliło go z wszelkich obaw. Z rozkoszą wciągał dym w płuca. Raz się żyje. A czego człowiek nie doświadczy, tego nie zrozumie. Skoro prędzej czy później coś i tak musi go zabić, niech to będzie przyjemny nałóg, nie zaś paskudna, pospolita grypa.

Wreszcie poczuli się dostatecznie rozluźnieni, aby przenieść zabawę na rozchybotany pokład „Aqury”. Tortinatus nasadził na głowę swój kapitański kapelusz w kształcie pieroga i ruszyli zażyć świeżego powietrza.

Pierwsza nocna wachta ze spokojem obserwowała, jak wszyscy czterej wytaczają się na pokład, zaś mający pilnować kursu Nautilus potyka się i omal nie

wylatuje za burtę. Ale nie, jeszcze nie tym razem! W ostatniej chwili przytrzymał go jakiś zadziór na burcie.

Noc była spokojna, Kaczy Dziób wskazujący północ świecił nieprzesłaniany chmurami, lekki wiatr pchał statek we właściwą stronę...

– Pochodnie! – ryknął Tortilus. – Dawać mi tu więcej światła!

Żądanie szypra zostało spełnione w mgnieniu oka. Wkrótce przedni pokład stanął w ogniu, na szczęście bezpiecznie trzymanym przez czterech majtków. Pochodnie przypominały Rosselinowi wizytę w świątyni Draceny, dawno temu. To tam, w ogniu, wykuło się jego powołanie.

– Świnia! – ryknął szyper.

Pogodnik niepewnie rozejrzył się dookoła. Nie, to chyba nie było do niego... Tymczasem obaj oficerowie spokojnie czekali na bieg wydarzeń. Farclay nawet uśmiechnął się porozumiewawczo do maga.

Kolejny majtek, sapiąc z wysiłku, wtaszczył na pokład wielką czarną świnię w klatce, żywy zapas mięsa na czas podróży. Nie pytając nikogo, wyciągnął zwierzę i przywiązał do masztu. Wieprzek chrząkał nerwowo, próbował wyrwać nogę z pętli, raz kwiknął gniewnie, wreszcie zrezygnowany wybrał sobie jakąś leżącą pozycję, w której sznur mu nie przeszkadzał.

Tortintus chwilę sycił się tym widokiem, później dobył zza pasa sporych rozmiarów nóż.

– Masz prawo pierwszego rzutu – wyciągnął go zapraszająco w stronę maga. – Tylko bez tych waszych sztuczek, to nie uchodzi – zaznaczył i czknął.

Rosselin popatrzył na świnię. W jej oczach widać było rezygnację. *Tak, ocean wymaga cierpień i wielu wyrzeczeń* – pomyślał. Odsunął od siebie ostrze, mówiąc:

– Jakoś nie jestem w nastroju. – Była to prawda, bo dobre samopoczucie gdzieś odpłynęło, jego miejsce zajęły smutek i poczucie pustki.

Szyper prychnął pogardliwie.

– Bój się, czarny łbie – mruknął. Trzymając nóż w ręku, powiódł przekrwionym spojrzeniem po majtkach. – I niech mi no który nie pracuje jak należy w czasie rejsu, tak samo potraktuję. – Bez ostrzeżenia z rozmachem rzucił ostrzem.

Rozległ się kwik, na co majtkowie krzyknęli triumfalnie, a Rosselin w chybotliwym świetle pochodni ze zgrozą ujrzał, jak ze świńskiej szyi tryska niemal czarna krew.

Tortinatus na chwiejnych nogach podszedł, wyciągnął nóż z rany i nadstawił kapelusz. Upił łyk posoki wciąż tryskającej z tętnicy.

Rzucił ostrze Farclayowi, otrząsnął kapelusz i nasadził go sobie na głowę.

– Tak na marginesie, przyjaciele nazywają mnie Czarnym Szyprem – wychrypiął w stronę maga. Zrobił jeszcze dwa kroki i runął na pokład, już w locie wydając pierwsze chrapnięcie.

Wino i cygara natychmiast wywietrzały przerażonemu Rosselinowi z głowy. Świnia wylądowała za burta, a mag pojął, że na tym pokładzie bardziej niż w Aarafiela czy Dracenie i jej siostry wierzy się w mrocznego boga morskich przestworzy, krwiożerczego Krakerna.

Tej nocy długo patrzył w ścianę swojej kajuty, łkając ze strachu i grozy. Oraz obiecując w myślach Astrogoniuszowi, że kiedy wróci na ląd, postara się, aby malarz mógł zaznać tych samych uczuć.

* * *

Po kilku dniach rejsu Rosselin uznał jednak, że nie jest źle i niepotrzebnie panikował. Choroba morska minęła, wiatry pchały „Aqurę” we właściwym kierunku, więc mag powoli zaczął dostrzegać szansę wykaraskania się z tej opresji bez szwanku. Tym bardziej że szaleństwo w oczach Tortinatusa zgasło. Szyper zamienił się w troskliwego, dbającego o statek i ludzi dowódcę.

Co więcej, z upływem czasu Rosselin nabierał przekonania, że może jednak nie jest takim ciamajdą, jak mu się pierwotnie wydawało. Może rulon ukończenia Akademii Magicznej jednak jest coś wart?

Pojął także, iż tym rejssem płaci cenę za przywołanie Pierwszego Maga podczas pracy u malarza Astrogoniusza, oby zaraza go oślepiła i przywiodła do impotencji. Coś jednak musiało być w Rosselinie cennego, jakieś niezwykle umiejętności, skoro Starzec ukarał go tylko wysłaniem na przestwór oceanu, podczas kiedy innym potrafił odebrać rozum albo zamienić w pół kozła, pół krzesło.

I kiedy mag rozmyślał o różnych nieważnych sprawach, powoli zbierając się do śniadania, naraz ktoś zapukał do drzwi, burząc jego optymistyczną aurę. Po czym zburzył ją jeszcze bardziej.

– Jest mały problem, magu – powiedział Tortinatus, bez pozwolenia wsadzając głowę do kajuty. Na jego twarzy malował się lekki niepokój. – Nie zechciałbyś pomóc?

Strach przeorał oblicze Rosselina.

– A... – jęknął – o co chodzi?

Szyper wszedł do środka i starannie zamknął za sobą drzwi, jakby chciał, żeby nikt nie usłyszał jego słów.

– Jedna z naszych świń zachorowała i nie wiem, czy bydlę wyrzucić, leczyć czy zjeść. – Odchrząknął niepewnie. – Wiem, żeś pogodnik, nie mag od zwierząt. Ale może obejrzałbyś zwierzaka? We własnym interesie. – Tortinatus roześmiał się zgrzytliwie. – Bo jak zjemy, to będzie za późno, sam rozumiesz... Z kolei szkoda mięsa, jakby było dobre. Krakern już dostał, co jego...

Rosselin bardzo się starał, żeby na jego twarzy nie pojawił się wyraz wielkiej ulgi, co mogłoby wzbudzić podejrzenia szypra.

– No cóż – westchnął teatralnie – pójdę.

Wszelkie zapasy jedzenia trzymane były pod pokładem. Z bekami solonego mięsa, worami sucharów i owoców nie było problemu, nawet jak się trochę nadpsuły czy zarobaczyły. Odzysk był tylko kwestią fantazji kucharza. Ale że ta nie wznosiła się na wyżyny finezji, wszyscy żeglarze jedli omlety robione z sucharów przemielonych razem z robakami oraz nadgniłymi owocami. Załoga za jednym zamachem dostawała i witaminy chroniące ją przed szkorbutem, i pożywne białko.

Część białka przewożono jednak w postaci żywej, a nawet skrzeczącej, gdakającej czy kwiczącej. Zwykle były to drób i świnię, takie jak ta zamordowana owej strasznej pierwszej nocy przez pijanego kapitana.

Teraz jednak Tortinatus w niczym nie przypominał Czarnego Szypra. Wręcz przeciwnie: choć Rosselinowi wskazał ręką właściwe wejście pod pokład, sam nie zdradzał chęci podążenia jego śladem.

– Schodkami, a potem na węch i słuch – doradził. – Jest tam Nemmo, majtek, co to się opiekuje naszym żarciem. On ci wyjaśni, o które zwierzę chodzi.

Rosselin bez trudu pojął, że Tortinatus boi się złapania zarazy. Nawet to rozumiał. *Jakby to wyglądało, gdyby dumny Czarny Szyper zaraził się jakimś paskudztwem od świni?* – pomyślał ironicznie.

Sam jednak nie miał żadnego wyboru. Zaraza może nie była lepsza od kompromitacji, ale od wyrzucenia za burtę na pewno tak. Potem by się mówiło, że to wielka fala zabrała nieszczęsnego maga... a Krakern zapewne ucieszyłby się odmianą w postaci młodej ludziny.

Z niechęcią wstąpił pod pokład. Rzeczywiście, w tej kwestii kapitan się nie pomylił – Rosselin nie miał żadnego problemu z odnalezieniem spiżarni. Wystarczyło posiadać średnio rozwinięty węch.

W pewnej chwili z głębi korytarza wyjrzało wielkie chłopisko. Widząc maga, Nemmo skrzywił się z niechęcią.

– Tortinatus mnie przysłał, żebym obejrzał chorą świnię – wyjaśnił pogodnik.

Majtek w milczeniu poprowadził Rosselina do wielkiego pomieszczenia, gdzie w kojcach spoczywał cały żywy inwentarz. Wskazał mu jedną z czarnych świń. Osowiałe zwierzę podniosło na nich błędne spojrzenie, kiedy podeszli.

– Gorączkę ma – mruknął Nemmo. – Zdechnie jak nic...

Rosselin podszedł do kojca, wsunął rękę i pociągnął po szorstkiej sierści zwierzęcia.

– Głupia świnia – usłyszał mruczenie za plecami. – Myśli, że sobie pieska znalazła...

Mag powoli odwrócił się i spojrzał chłopakowi prosto w oczy.

Nemmo w odpowiedzi wyprostował się na całą swoją sześciostopową wysokość. Założył ręce na ramiona i hardo patrzył na pogodnika. Nie wydawał się przestraszony jego poirytowanym wzrokiem.

Na twarz Rosselina wypłynął rumieniec gniewu, przed oczyma ze zdenerwowania zaczęły mu latać ciemne plamy. Nie pozwoli, żeby ubliżał mu zwykły majtek!

Szarpnął poły płaszcza, mamrocząc:

– Niech no ja tylko znajdę różdżkę... gdzie jesteś, moja słodka...

Oczywiście nie miał jej przy sobie. Została w sakwie, gdzie leżała sobie od roku nigdy nieużywana. Magowie jej nie potrzebują, zaklęcia mogą rzucać, jak im wygodnie, nawet głosem wewnętrznym. Różdżki używali tylko dla fasonu, dając pospólstwu sygnał: *Uwaga, teraz będę czarować!* Gdyby więc chciał i mógł, już w tej chwili Nemmo zamieniłby się w świnie albo zbrylone ptasie odchody, grzecznie zwane guanem.

Ale majtek o tym nie wiedział, podobnie jak o tym, że słone wody pozbawiły Rosselina całej jego magii. Hardość i odwaga gdzieś wyparowały, bo nagle dotarło do niego, że przeholował. Chłopak kwiknął więc przeraźliwie, łomotnął w drzwi prowadzące na korytarz i zniknął.

Pogodnik w zadumie popatrzył na wilgotny ślad ciągnący się wzdłuż korytarza.

– Wiesz co? – zwrócił się do czarnej świni, która nadal przyglądała się całej sytuacji mętными od gorączki oczyma. – Będzie z niego dobry marynarz. Łatwo oddaje wodę...

Wieprzek chrząknął cicho. Mag popatrzył na niego, wzruszył ramionami. Nic tu nie mógł poradzić, przecież nie znał się na zwierzętach. Ruszył z powrotem na pokład.

Na górze zaczepił go wyraźnie zaniepokojony szyper, którego ucieczka majtka wprawiła w pewną nerwowość.

– No i co? – chrząknął. – Poradziłeś coś? Nie grozi nam zaraza?

Rosselin popatrzył na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Czy świni pomogłem, to nie wiem – wyznał szczerze. – Ale twemu marynarzowi to na pewno. Bardzo się chłopak ożywił, nie sądzisz?

I zadowolony, ruszył do swojej kajuty.

* * *

Cisza nadeszła nieoczekiwanie następnego dnia rankiem. Według twierdzeń Farclaya, który zajmował się nawigacją, statek znajdował się jakieś sto pięćdziesiąt mil od Garandyny, do której płynęli. Wiatr ucichł, żagle sflaczały i pomarszczyły się niczym wysuszony rybi pęcherz. Po bezkresnym oceanie niosły się falki nie większe od małych, srebrzystych ryb zwanych wśród pospólstwa *zakęskami*.

– No, sam widzisz – rzekł Tortinatus, drapiąc się w ucho. Z nadzieją popatrzył na maga spoglądającego z wysokości mostka na martwy żywioł, który za nic nie chciał współpracować z „Aqurą”. Nie pomogły na przemian miotane przez szypra klątwy i błagania. – Przecież nie prosiłbym o pomoc, gdyby to była jakaś bzdura.

– Psiakrew! – jęknął Rosselin. Po raz kolejny przeklął fakt, iż Farclay wybrał żeglugę z dala od brzegu na czystych, głębokich wodach – wolnych tak samo od punktów orientacyjnych psujących równą linię horyzontu, jak i oczywiście od

wieśniaków dorabiających łupieniem bezbronnych statków. Ale przez to mag nie mógł nawet wyskoczyć i próbować dopłynąć do brzegu. A czuł przez skórę, że powinien, MUSI to zrobić...

Szyper popatrzył na niego z niepokojem.

– Co, nie dasz rady? Ejże, pogodniku, nie bądź taki skromny – próbował mu dodać otuchy.

Rosselin nie odpowiedział. Ponurym spojrzeniem wodził po pokładzie. Dla prawdziwego morskiego maga wywołać wiatr o określonej sile i kierunku to pestka. Ale on mógł jedynie w duchu prosić Pierwszego...

Naraz oblicze maga rozjaśniło się lekko.

– Północny wiatr, jakieś sześć stopni w skali, co? – spytał Tortinatusa.

Ten skinął głową.

– Sześć wystarczy, ale mamy lekkie opóźnienie, siódemka byłaby lepsza. Aby tylko równo szła – dodał. – To co, mają chłopcy dołożyć płócien na rejach?

I wtedy Rosselinowi przydała się uszczypliwa uwaga, którą niedawno wygłosił o nim jeden z majtków – że nigdy żaden mag morski nie stąpał po pokładzie „Aqury” i było dobrze. To dawało magowi spore szanse na wybrnięcie z kłopotu. *Więc i teraz będzie dobrze – pomyślał. – Tak dobrze, że nikt nie zauważy różnicy.*

– Nie tak zaraz, wiśta wio i już – stwierdził ostro. – Jednym pstryknięciem palca, kapitanie, trudno wywołać porządne wietrzysko. – Gra była ryzykowna, ale i tak nie miał nic do stracenia.

Tortinatus skrzywił się, ale zmilczał cierpką uwagą. Rosselin dobrze trafił: szyper nie miał żadnego doświadczenia w tych sprawach. *Swoją drogą, cóż za pech – pomyślał mag z goryczą – że akurat nasze drogi musiały się skrzyżować w tamtej knajpie. Tak to jest, jak się człowiek zapatrzy na kształtne kolanko...*

– Potrzebuję świecę – zażądał.

Gdy ją dostał, z wielką pompą nakapał wosku na koło sterowe, niemal parząc marynarza, który wciąż stał na mostku całkowicie w tej chwili nieprzydatny. I mocno wystraszony, że on najbardziej ucierpi na poczynaniach maga.

Później Rosselin wymamrotał kilka zdań w queszu. Tego języka szyper na pewno nie znał. Była to bowiem sekretna mowa cechu magów pozwalająca im na bezpieczną rozmowę nawet w obecności wrogów. Tortinatus kiwał więc mądrze głową, uświęcając swym kapitańskim autorytetem tajemny obrzęd, podczas którego pogodnik obiecywał, że za porwanie i wywiezienie z Fertu, a zwłaszcza rzucenie w bezmiar oceanu, wkrótce udusi szypra z grzybami, po czym nakarmi tym frykasem jego załogę. Albo wieprzki w spiżarni. Albo Krakerna, oby nigdy nie wylazł z największych głębin.

Później, wciąż mając za plecami kapitana, Rosselin podążył do swojej kajuty. Postawił na stole świecę, w queszu obiecując, że wytopi całe sadło z tej grubej świni, która zagląda do jego kabiny, bojąc się przekroczyć próg.

Później zamknął Tortinatusowi drzwi przed nosem, tłumacząc sucho:

– Reszta obrzędów jest tajna.

Faktycznie, musiała taka pozostać, ponieważ ledwo zamknął drzwi na zasuwkę, zgasił też cuchnący, kopący artefakt i wyciągnął się wygodnie na koi. *Poczekamy na wiatr* – pomyślał z uśmiechem. – *W końcu musi nadejść.*

Nie chcąc marnować czasu, na wszelki wypadek próbował sobie przypomnieć jakieś stosowne do okoliczności zaklęcia. Starał się tak intensywnie, że... zasnął.

* * *

Zbudziło go łomotanie do drzwi. Poderwał się z koi lekko nieprzytomny.

– Nadal cicho – dobiegł zza drzwi zrozpaczony głos Tortinatusa. – Nie możesz czarować szybciej?

Rosselin stłumił chichot. Wyjrzał przez bulaj. Kapitan nie kłamał: cisza nie odeszła, statek nadal martwo tkwił w miejscu.

– A chcesz mnie zastąpić? – burknął.

Kroki odchodzącego szypra brzmiały niczym niechętnie stąpanie skazańca zmierzającego w stronę katowskiego pniaka.

Z nudów Rosselin wyjął notatnik i przekartkował śnieżnobiałe stronice. Ktoś mógłby pomyśleć, że przegląda zapiski sporządzone niewidzialnym atramentem, jednak prawda była taka, że mag nawet nie zaczął raportu na temat pracy u Astrogoniusza. Ciszę na morzu uznał za stosowny moment, aby to nadrobić.

Spojrzał na kałamarz i wetknięte weń zaostrome pióro. Wyjął je, otrząsnął ze zbędnego atramentu i... gryząc wargę w grymasie skupienia, zaczął pisać coś innego, niż planował. A mianowicie:

Jak można się nazwać Czarnym Szyprem – z impetem szurał piórem po papierze. – Tortinatus powinien raczej nosić tytuł Świńskiego Łba! Albo porywacza... Swoją drogą trzeba wybadać, jakim sposobem przetransportował mnie na statek i czy tylko spił, czy też dodatkowo otruł. Przyda się, gdy będę składać skargę w żeglarskim cechu...

Ostatnie słowa podkreślił wężykiem. Zeznanie dla Akademii to jedno, ale złożyć donos na Tortinatusa też nie zaszkodzi...

Naraz poczuł drgnięcie.

Nie, to nie ja – pomyślał ze zdziwieniem wyrwany z układania w myślach denuncjacji na kapitana. – Przecież nic nie piłem!

Wtedy usłyszał lekki łopot żagli. A zaraz potem krzyki radosnych marynarzy.

Całkiem nieźle mi idzie – z zadowoleniem pomyślał Rosselin. – Chyba zmienię specjalizację...

* * *

Wieczorem, gdy statek śmiało pruł fale, Tortinatus przy kolacji długo przyglądał się magowi. I wreszcie gdzieś tak pomiędzy potrawką z królika a musem owocowym, specjalnie dla mesy kapitańskiej bez robaków, rzekł:

– Zaczny chłop z ciebie. Pić pijesz jak należy, świnię uleczyłeś, wiatry się ciebie słuchają... Wiesz co? Może się zgodzimy na roczny kontrakt?

Najwyraźniej wcześniej tego dnia szyper nie łapał tych samych co Rosselin kosych spojrzeń załogi ani nie dotarły do niego komentarze w rodzaju: „Też mi sztuka, naprawdę!”.

Mag zastanawiał się, jak zręcznie odmówić. W końcu uznał, że najlepiej sprawę odwlec. Może sama umrze śmiercią naturalną?

– To szczodra i zaskakująca propozycja – powiedział, starając się, aby jego głos brzmiał szczerze. – Muszę ją przemyśleć.

Kapitan wydawał się rozczarowany, ale pokiwał głową ze zrozumieniem i odparł:

– Nie ma sprawy, myśl. Jakby co, wciąż tu jestem...

* * *

Życie samo rozwiązało problem Rosselina. Następnego dnia po południu barometr zaczął spadać, a załoga – denerwować się nie na żarty.

– Idzie burza – mruknął Tortinatus, gdy wraz z magiem obserwował zachód słońca. Niebo było jakby rozmyte, odległe. – Będziesz miał rankiem robotę.

Pogodnik milczał. Szyper też już się nie odezwał słowem, tylko stał ciężko wsparty o burtę i widać było, że naprawdę się martwi.

Pół nocy pogodnik spędził na rozmyślaniach. Ale nie znalazł dobrego zaklęcia. Do głowy przychodziły mu tylko kiepskie, te same, które nawet na lądzie nie zawsze chciały działać.

Zapowiedziany przez kapitana ranek nadszedł bladym świtem. Tortinatus wyciągnął Rosselina z pościeli, mówiąc, że nie ma na co czekać. Mag, wzdychając ciężko, wyszedł z nim na mostek.

– Cyklon. – Szyper wskazał ręką ciemną plamkę na horyzoncie, pionową kreskę. Wyglądała jak pojedynczy filar łączący niebo z oceanem, bardzo estetyczny,

niby pończocha Draceny. Ten drań Astrogoniusz zaraz rzuciłby się do sztalug, żeby go namalować.

– Wali prosto na nas i to szybciej, niż się spodziewałem. Weź go zepchnij na bok albo rozbij, jak to tam robicie – rozkazał kapitan.

Rosselin nerwowo oblizał wargi.

– Kiedy... – zaczerpnął tchu. – Hmm... kiedy ja nie bardzo mogę...

Tortinatusowi, który i tak już był blady i zmęczony, jakby nie spał pół nocy, mina wyraźnie zrzędała.

– Magu! – podniósł głos. – Idzie burza, kurewska burza. Zaleje nas i pójdziemy na dno jak nic. Szlus i zostanie po nas tylko wspomnienie. A ty mi mówisz, że nie jesteś w nastroju. Do roboty albo zaraz wylecisz za burtę!

Rosselin już-już chciał mu wyznać, że nie jest żadnym morskim magiem i jeżeli cyklon nie potknie się na jakiejś fali, uderzy w nich z całą siłą. Jednak mając do wyboru: umrzeć trochę wcześniej lub ciut później, zdecydował się na to drugie.

– Pójdę do siebie, spróbuję coś zdziałać. – I odprowadzony gniewnym spojrzeniem Tortinatusa uciekł do kajuty.

Patrząc w bulaj, kłął z ponurą rozpaczą. Gdyby w tej chwili mógł przywołać Pierwszego Maga... Zmarnował jednak tę możliwość niczym ostatni dureń! Prosił o blade słońce dla jakiegoś malarza, który niech będzie przeklęty na wieki! A przecież mistrz Purgion wbijał w głowy szkolarzy, że Starca można przyzywać w odstępie nie mniejszym niż 812 dni!

Siedział więc i przeklinał własną głupotę, aż usłyszał szybkie kroki, a potem łomot wściekłych pięści w drewno.

– Wyłaż albo wyłamię drzwi! – zawołał gniewnie Tortinatus. – Psiakrew, cyklon się zbliża, nie ma na co dłużej czekać!

Oto nadciąga chwila śmierci – pomyślał z posępną rezygnacją Rosselin. – *I nie wiadomo, co zabije mnie najpierw: burza czy też Czarny Szyper.*

Otworzył i z niechęcią wyszedł na zewnątrz. Kapitan złapał go pod ramię i wywlókł na pokład.

– Coś słaby jestem – stękał po drodze pogodnik. – A może poradzimy sobie bez czarowania?

– Nie użyjesz magii? – spytał wyraźnie wstrząśnięty szyper. – Nawet po to, żeby ocalić nam życie?!

Rosselin zaprzeczył słabym ruchem głowy. Spróbowałby może wytłumaczyć, że na ładzie jest świetny, ale woda to naprawdę nie jego żywioł. I może nawet takie kłamstwo przeszłoby mu przez gardło bez mrugnięcia okiem, jednak krtań miał tak zaciśniętą i suchą, że nie zdołał wydobyć z siebie ani słowa.

– Chcesz mi powiedzieć, że chociaż podpisałeś papier i mam ci zapłacić żywą gotówką, nadajesz się tylko do wybierania wody? – wrzasnął kapitan równocześnie wściekły i przerażony.

Mag spuścił głowę. Przysłuchująca się tej rozmowie załoga zaszemrała głośno i nerwowo.

– No to pod pokład! – warknął Tortinatus niemal kredowobiały na twarzy. – Wodę wybierać! Później się policzymy, kurwi synu! O ile przeżyjemy, psia twoja mać!

A było co wybierać. Cyklon zbliżał się z niewiarygodną prędkością i wkrótce wpadli w jego łapy. „Aqurę” zaczęły zalewać potoki wody. Na górze Tortinatus kierował częścią załogi, która pilnowała, żeby jakaś fala nie położyła statku. Na dole... cóż, pod pokładem większość ludzi wybierała wodę. Ta jednak uparcie wlewała się lukami, puściło też kilka uszczelnień...

Statek, miotany dzikimi podrygami żywiołu, rozpaczliwie walczył o utrzymanie się na powierzchni. Ludzie walczyli o życie. Rosselin walczył dodatkowo z wymiotami, bo powróciła morska choroba. Nie zapominał jednak o przeklinaniu

Astrogoniusza oraz Czarnego Szypra, życząc im śmierci w mękach trwających wiele dni bez przerwy.

Trwało to wieczność. Albo pół godziny – zależy, jak liczyć. W końcu cyklon odszedł, a statek, choć lekko uszkodzony, wciąż utrzymywał się na wodzie. Z wyjątkiem dwóch marynarzy, którzy wypadli za burłę, oraz jednego, który utopił się w ładowni, gdy wielka fala zalała łajbę, nie zanotowano strat. Krakern obszedł się z „Aqurą” dosyć łaskawie.

Rosselin powlókł się do swojej kabiny, padł tam na koję i natychmiast zasnął.

* * *

Nie musiał bawić się w jasnowidza, żeby domyślić się dalszego biegu wypadków. Nie zdziwiło więc Rosselina, że w kilka godzin po odejściu burzy Tortinatus przez jednego z majtków wezwał go do siebie.

– Mam tylko jedno pytanie – zaczął. – Dręczy mnie ciekawość, rozumiesz...

Mag stał przed nim wdzięczny, że stół w kapitańskiej kajucie jest wystarczająco szeroki, aby szyper nie dosięgnął jego gardła. Ten jednak siedział wrośnięty w swoje mapy, szafki z księgami oraz instrumentami nawigacyjnymi, życzliwie się uśmiechając... Tylko te jego oczy. Bardzo zimno spoglądały na Rosselina, przecząc wyrazowi reszty twarzy.

– Dlaczego nie zechciałeś użyć magii? – wycedził wreszcie.

– Nie jestem morskim magiem, tylko lądowym pogodnikiem – mruknął ten w odpowiedzi. – Jak większość z nas. Nienawidzę słonej wody!

Tortinatus z frasunkiem skubnął brodę.

– Ciężko nająć maga na statek, jasne... Ale po co się, psia twoja krew, chwaliłeś, że morskie wiatry też cię słuchają?

– Jakbyś nie wiedział, że po pijanemu to się gada bzdury... – westchnął Rosselin.

Ale było to wierutne kłamstwo. Domyślił się już, jak było naprawdę – że zalany w trupa użył *ślepego oczka*.

Za pomocą tego nietrudnego i bardzo praktycznego zaklęcia większość magów potrafiła dowolnej osobie wcisnąć każdą brednię. Niestety mogła to zrobić jeden jedyny raz, bo potem ów człowiek nabierał odporności. Jeżeli chciało się kłamać nadal, trzeba było to robić bez korzystania z mocy magicznych.

Rosselin po pijanemu, chcąc wydać się ważniejszym, zapewne wmówił Tortinatusowi, że jest utalentowanym morskim magiem. Dla kogoś z zewnątrz, laika pozbawionego mocy, różnica między magiem lądowym a morskim sprowadzała się jedynie do tego, czy czarodziej wolał ryby, czy też baranię. Magowie nie chwalili się pospółstwu, a nawet cesarzowej, że kiedy oderwą stopę od twardej ziemi, większość z nich jest mniej warta niż byle łazęga na dziurawej krypie.

Szyper uśmiechnął się sarkastycznie.

– No to jak po pijanemu się plecie brednie, to na trzeźwo się cierpi. Ciesz się, że rybom nie wyrzuciłem na pożarcie. A tak na marginesie...

Tu sięgnął na półkę za plecami i wyjął jakąś księgę. Rosselin z przerażeniem rozpoznał swój dziennik. *Jakim cudem trafiło to w jego łapy?* – pomyślał z przerażeniem. Czyżby Tortinatus przeszukał jegoabinę, kiedy pogodnik razem z innymi wybierał wodę spod pokładu?

Kapitan „Aqury” pogłodził okładkę notatnika.

– Nie wiedziałem, że prowadzisz pamiętnik...

– Ja... – Rosselinowi naraz zabrakło tchu w piersi. Przypomniał sobie dokładnie treść jedyne go wpisu. – Ja...

Oczy Tortinatusa rozbłysły krwawym gniewem.

– „Ja... ja...”. Nie musisz tyle razy powtarzać. I tak wiem, że ty to nabazgrałeś – warknął. – Ale dziękuję, że potwierdziłeś to bez stosowania tortur.

* * *

Rosselin odkrył, że nic tak nie zbliża ludzi do zwierząt jak wspólne mieszkanie.

Oczywiście Tortinatus wyrzucił maga z jego kabiny. Zesłał nieszczęśnika pod pokład – i to nawet nie do pomieszczeń załogi, która teraz dawała upust całej nagromadzonej złości, wykorzystując każdą okazję, żeby mu dokuczyć.

Rosselin wylądował znacznie gorzej: w jednym z pomieszczeń, gdzie przechowywany był żywy inwentarz. Tam sypiał i spędzał tę resztkę czasu, jaka pozostawała po szorowaniu pokładu czy cerowaniu żagli.

Rządził tu niepodzielnie i boleśnie Nemmo, z którym mag zadarł na początku rejsu. Dwa razy większy od pogodnika, uwielbiał przed snem trochę się z nim poboksować, potrenować lewy prosty często wzmocniony hakiem podbródkowym.

Rosselin marzył o zemście. Miał już na swej liście trzy osoby: Astrogoniusza, za sprawą którego popadł w kłopoty, Tortinatusa, który go porwał, a teraz dopisał do niej majtka.

Wyobrażanie ich sobie w mękach, plujących krwią i ryczących z bólu tak straszliwego, że podnosił włosy na głowie, było dla niego nie lada pocieszeniem.

* * *

Rankiem któregoś z tych strasznych dni Nemmo obudził Rosselina, podsuwając mu miskę. Leżały w niej ugotowane dzioby i kurze pazury – resztki towarzyszy niedoli, w dodatku tak mizerne, że w Fercie wzgardziłby nimi nawet bezdomny kundel.

– Śniadanie. Jedz – powiedział majtek, uśmiechając się złośliwie.

Byli sami. A Nemmo był silniejszy...

– Jedz – powtórzył, stojąc nad magiem niby okrutna bestia. – Bo jak nie zjesz dobrowolnie, to ci je wsadzę do tyłka.

Pogodnik wziął z miski jedną kurzą łapę i zaczął ją ssać.

W dotyku była ostra, a w smaku... lepiej nie mówić.

* * *

Szczyt upokorzenia nastąpił, gdy dopłynęli do portu przeznaczenia, perlonośnych łowisk Garandyny.

Rosselin pracował akurat pod pokładem, przebierając zgniłe ziemniaki, kiedy odnaleźli go Tortinatus z Nemmo.

– Chodź ze mną – zarządził szyper.

Wydawało się magowi, że prowadzą go do miejsca, gdzie sypiał. Jednak okazało się, że „Aqura” kryje przed nim jeszcze wiele niespodzianek, na przykład niewielkie pomieszczenie w pobliżu ładowni, wejścia do którego dotąd nawet nie zauważył. Jego wnętrze niemal w całości wypełniała ciasna klatka o gęsto ustawionych żelaznych prętach. W różnych miejscach uwiązane były do nich solidne łańcuchy.

Tortinatus kluczem otworzył małe drzwiczki w przedniej części tego więzienia.

– Właż – nakazał.

– Ale dlaczego? – Rosselin z całej siły zapierał się nogami, mimo że od tyłu popychał go majtek.

– Bo jeszcze byś mi uciekł w porcie – syknął szyper. – A papier podpisany na cały rejs. Z Fertu wzięłem, w Fercie na brzeg wyrzucę!

Pogodnik tylko chlipał z rozpacz, kiedy Nemmo wiązał go łańcuchami i zatykał usta brudną szmatą.

Teraz mag przestał już wierzyć, że kiedykolwiek cały i żywy opuści pokład „Aqury”. Chyba że po desce wysuniętej z burty statku – prosto w fale oceanu.

* * *

Wypuścili go z klatki dopiero drugiego dnia po wypłynięciu z portu, kiedy Garandyna została daleko za prawą burzą. No i z miejsca posłali do roboty.

Szorował akurat mostek. Wyposażony jedynie w cegłę i wiadro wody, na klęczkach bezskutecznie próbował zetrzeć brud głęboko wżarty w drewno.

Naraz rozległy się krzyki. Ktoś wskazał ręką horyzont. Wyteżywszy wzrok, można było dostrzec maleńki żagiel, który wyraźnie zmierzał w ich stronę.

Farclay strzyknął śliną wprost na rękę maga.

– Wołać szypra!

Tortinatus zjawił się niemal natychmiast. Choć pierogowaty kapelusz miał nasadzony jak trzeba, koszulę w pośpiechu założył na lewą stronę. Przyłożył dłoń do czoła i obserwował szybko zbliżający się statek.

– Nie mają flagi! – krzyknął po jakimś czasie chłopak z bocianiego gniazda. – Żadnych znaków miejskich czy imperialnych...

– Piraci, psiakrew – orzekł szyper. – Niech mnie gonka dopadnie... Chcą nam zabrać nasze perły! Do żagli!

„Aqura” usiłowała zejść morskim rozbójnikom z kursu, jednak tamtym sprzyjał wiatr. Płynęli szybko, przygotowując się do abordażu. Na ich okręcie widać już było ludzi trzymających bosaki, liny zakończone hakami albo deski gotowe do przerzucenia na pokład. Strzały z małego działka sygnałowego nie wyrządziły napastnikom żadnych szkód.

– Kto żyw, do broni! – wrzasnął kapitan.

Wtedy jego wściekłe spojrzenie natknęło się na Rosselina.

– A ty gdzie?! – warknął, widząc, że mag też zamierza walczyć. – Dosyć już mam z tobą kłopotów! Łeb w pokład, bo mieczem utnę!

Wreszcie oba statki zderzyły się z trzaskiem, szczepiły i taki był początek bitwy, w której załoga Tortinatusa nie zamierzała tanio oddać skóry. Poza tym należało spróbować szczęścia, bo uczciwi marynarze też chętnie łupili piratów, gdy nadarzała się okazja.

Napastników było jednak więcej i mieli lepsze uzbrojenie. Wkrótce opanowali część pokładu, spychając marynarzy z „Aqury” w stronę dziobu. Ci bronili się

zajadle, miecz zgrzytał o miecz, jednak nawet taki dureń jak Nemmo nie mógłby nie zauważyć, że przegrywają walkę.

Oba statki kołysały się na fali szczone burtami. Rosselin ze swojego stanowiska roboczego na mostku z rosnącym strachem obserwował krwawe zmagania toczące się na dole.

I naraz niemal na głowę zeskoczył magowi jeden z piratów, który wspiął się po rei swego statku. Zamierzał zdobyć mostek i uderzyć na broniących się marynarzy od tyłu. Wyprostowany, śmiertelnie przerażony Rosselin z cegłą w ręku wyglądał jednak tak idiotycznie, że napastnik roześmiał się, godząc w niego sztychem swego miecza.

I wtedy coś w magu zaskomliło.

Rozległo się ogłuszające *Puff!* – a to, co zostało z pirata, nagle przestało się śmiać. Spadło po schodkach na pokład, dymiąc i śmierdząc słodkawo, jak przystało na spalone ludzkie mięso. Załoga „Aqury” krzyknęła gromko, triumfalnie, rozbójnicy zaś oniemieli.

Rosselin zstąpił powoli, w nagłej ciszy po stopniach – jeden, dwa, trzy – na poziom pokładu. Nad jego głową uformowała się kolejna kula ognia...

– Cofnąć się! – wrzasnął jednooki herszt piratów. – Mają maga! Na statek! Wracamy!

Jego kompani posłuchali rozkazu, zaczęli po trapach uciekać z powrotem, zrywać haki i odcinać liny. Ale on, cóż...

Kolejna kula ognia ugotowała go na miękko. Zaczął się rozpadać na kawałki, jeszcze stojąc.

Atak piratów został odparty.

* * *

– **A** więc kłamałeś, kłamiąc, że nie jesteś magiem – mruknął zdumiony Tortinatus, gdy wszystkie trupy zostały już wyrzucone za burtę, a załoga wzięła się do

porządków. Zaprosił maga do swojej kajuty na miarkę wina. – Nic już z tego nie rozumiem.

Rosselin wyszczerzył zęby w uśmiechu i opróżnił kubek. Po czym odwrócił go dnem do góry.

– Nie mówiłem, że nie jestem magiem – poprawił szypra. – Tylko że nienawidzę słonej wody.

Kapitan wzruszył ramionami i zrezygnował z dalszych pytań. Zresztą gdyby pogodnik nawet chciał, i tak nie potrafiłby wytłumaczyć mu całej prawdy. Bo nikt nie potrafił. To coś po prostu było i już, tkwiło w Rosselinie od zawsze – ta jedna jedyna magiczna rzecz, której nigdy nie musiał się uczyć. Stała się zresztą powodem, dla którego rodzice oddali go do Akademii Magicznej, zapowiadając, żeby omijał ich wioskę, bo będą musieli go zabić. No ale co mogli zrobić, skoro w czasie uroczystości poświęcenia go Dracenie spalił wioskową świątynię razem z kapłanem, a wszystkie wierzchowce trzymane dla bogini oraz jej siostr uciekły w panice?

W chwilach najwyższego niebezpieczeństwa Rosselin przestawał panować nad zwieraczami magii. Bronił się niczym zwierzę, miotając wokół piorunami kulistymi. Jak się okazało, śmiertelny strach przełamał nawet barierę słonej wody.

Pogodnik nawet zastanawiał się, czy nie spróbować wyjaśnić tego jakoś Tortinatusowi, gdy naraz ktoś zapukał do drzwi kapitańskiej kajuty.

– Wlazł! – mruknął szyper.

Do środka zajrzał drugi oficer rozradowany od ucha do ucha.

– W jednej z ładowni znaleźliśmy pirata. Chował się między belami sukna – zaraportował, intensywnie coś żując. – Co z nim zrobić?

Tortinatus gwizdnął przeciągle.

– A to się bestia uchowała... Świnie nim skarmić. – Popatrzył na Rosselina i roześmiał się. – Nie, żartuję przecież. Niech nim nabiją działo sygnałowe. Tylko dobrze celujcie, żeby nam żagli nie pobrudził!

– Aha, załoga postanowiła się zrzucić na dziewczkę w porcie dla ciebie. – Farclay mrugnął do Rosselina. – Daliby ci nawet dziewicę, tylko żadnej w burdelu nie uświadczysz... – Zaśmiał się gromko, zabębnił palcami we framugę i ruszył przekazać marynarzom rozkaz Czarnego Szypra.

– No, o dziewicę trudno będzie... – mruknął Tortinatus.

Rosselin spojrzał na niego. Potem jeszcze raz. Nim wypowiedział swoją myśl, dla pewności zerknął na szypra po raz trzeci.

– Na razie może być coś innego – stwierdził wreszcie.

Kapitan uśmiechnął się szeroko z życzliwym zainteresowaniem.

– Dla ciebie wszystko. Bohaterom się nie odmawia.

Twarz maga rozjaśnił grymas okrutnej radości.

– Znajdź pretekst, aby przeciągnąć Nemma pod kilem. Uznaj to za moją słabość... ale chcę zobaczyć, jak cierpi.

– A co, załazł ci za skórę? – mruknął wyrozumiale kapitan. – No czemu nie, da się zrobić...

* * *

Szyper postanowił sprawę załatwić od ręki, za świeżej pamięci.

Nigdy nie słyszał z finezji działań, a przynajmniej Rosselin nie zdołał takiej zaobserwować. Tortinatus dokonał więc obchodu, w trakcie którego kilka razy krzyżowały się drogi jego i nieszczęsnego Nemma. Aż wreszcie rozległ się ryk kapitana:

– Co mi tu, kurna, zaglądasz! Nie twoja sprawa, po co w nosie dłubię! Brać go!

Zaszokowany marynarz nie stawiał oporu. Związany linami, które przy obu burtach ciągnęli ludzie pod wodzą samego szypra, wkrótce zniknął pod wodą. Cała wolna od pilnych zajęć załoga rzuciła się do poręczy wypatrywać chłopaka. Rosselin także nie odmówił sobie tej przyjemności. *Dzioby i pazury* – pomyślał mściwie, wspominając potrawę, jaką nakarmił go Nemmo. – *I ostry kil, kwiatuśku.*

Naraz, gdy wszyscy spoglądali na nieszczęśnika, Rosselin przypadkiem zerknął nieco w tył. I zobaczył bury worek, który wypłynął na powierzchnię, widać wypchnięty liną, po czym znów zniknął w toni. Mag uśmiechnął się lekko i wrócił do obserwowania pechowego majtka.

W końcu gdy mokry, drżący Nemmo stał, ociekając wodą, Rosselin podszedł do niego, jednocześnie gestem nakazując wszystkim innym oddalenie się.

Majtkek był tak zaszokowany faktem, iż wciąż jeszcze pozostaje pośród żywych, że nie zauważył podchodzącego maga. Dopiero gdy ten położył mu dłoń na ramieniu, chłopak zwrócił na niego wciąż mętne spojrzenie.

Pogodnik przybrał najbardziej słodki wyraz twarzy, na jaki było go stać, i spytał cicho, głosem jedwabistym jak masło podawane cesarzowej na śniadanie:

– To co, tępimy pazurki dalej, czy już wystarczy?

* * *

Do końca rejsu Rosselin zażywał sławy należnej pogromcy piratów. Marynarze patrzyli na niego z podziwem, zabobonnie dotykali błękitnego płaszcza, w którym mag z dumą paradował. Nie tłumaczył im historii z piorunami kulistymi. Niech myślą, co chcą. Ważne, żeby szanowali.

Tortinatus natomiast gryzł wargę, widać było, że coś go męczy. Mag domyślał się, o co chodzi. Cierpliwie jednak czekał, aż Czarny Szyper przełamie się w sobie. Czas grał na korzyść Rosselina.

Wreszcie ostatniego dnia rejsu kapitan pękł. Niemal siłą zaciągnął pogodnika do swojej kajuty, przekręcił klucz w zamku, po czym rzekł, z trudem dobierając słowa:

– Chyba się nie gniewasz, że wtedy... i nie doniesiesz cechowi, co? – Patrzył szeroko otwartymi oczyma, w których odbijał się strach. Magowie nie słynęli z łagodności. Można było ich nie lubić, bać się ich, ale zdrzeć z jakimś i to niepoślednim... istna katastrofa. – Złamałbyś mi karierę, rozumiesz?

– Nic nie powiem – ze słodkim uśmiechem obiecał Rosselin. – Niech będzie moja krzywda. Ale ty też milcz, a załogę uprzedź, że jak któryś coś wygada, nie skończy jak Nemmo, raczej jak ten pirat, którego spaliłem. I pamiętaj, że jesteś moim dłużnikiem. Kiedyś może z tego skorzystam.

Szyper gorliwie kiwał głową. Zaraz też znalazł się dzban z winem. I towarzystwo Farclaya oraz Naftilusa. A także rewelacyjne, trujące turkańskie cygara.

Głęboko w nocy, lekkim zakosem wychodząc z kabiny kapitańskiej, Rosselin popatrzył w gwiazdy. Odetchnął głęboko, całą piersią. Czuć było Fert, chociaż jeszcze go nie dostrzegał na horyzoncie.

Uśmiechnął się. Gdzieś w kajucie Tortinatus krzyczał z radości.

A krzycz sobie, krzycz, robaczku – pomyślał Rosselin. – Bo rzeczywiście porwaniem nie będę się chwalić. Aż taki głupi nie jestem.

Roześmiał się cicho.

I o tym, że worek z perłami zerwał się akurat wtedy, kiedy ciągnęliście Nemmo pod kilem, też nikomu gadać nie zamierzam.

Uśmiechnął się. Jest jednak jakaś sprawiedliwość na świecie, a Pierwszy Mag czuwał, aby nawet tak nędznemu pogodnikowi trzeciej kategorii, jak Rosselin, nie stała się krzywda.